

*Avanti!* – głośna komenda rozległa się na placu ćwiczebnym; trzy szeregi zbrojnych ruszyły naprzód.

Za każdym krokiem podkute żelaznymi ćwiekami sandały uderzały o ziemię jednocześnie, miarowym rytmem, któremu towarzyszył szczepek broni i wyposażenia. Już po pierwszych stąpieniach uniosła się chmura kurzu.

– Z daleka rzucają się w oczy – mruknął Halt.

Will zerknął na niego z ukosa. Uśmiechnął się.

– Może o to właśnie idzie.

Generał Saprستي, który zaaranżował dla nich ten pokaz tokańskiej musztry bojowej, skinął z uznaniem głową.

– Młody dżentelmen się nie myli – stwierdził.

Halt uniósł brew.

– Może i się nie myli, bez wątpienia jest młody. Tylko co z niego za dżentelmen?

Saprستي zmieszał się lekko. Nawet po dziesięciu dniach przebywania w ich towarzystwie wciąż jeszcze nie zdołał przywyknąć do nieustannej wymiany wesołych docinków, wypowiedzianych bezustannie przez obydwu dziwnych Araleńczyków. Nie zawsze potrafił się rozeznac, kiedy mówią poważnie, a kiedy tylko żartują. Niektóre słowa, gdyby padły między Toskanami, doprowadziłyby niechybnie do bójki i rozlewu krwi, bowiem przedstawiciele jego nacji słynęli z przerośniętej miłości własnej... A w każdym razie przerastającej ich poczucie humoru.

Tymczasem młody zwiadowca najwyraźniej nie poczuł się nawet urażony.

– Aha, *signor* Halt – rzekł niepewnie generał. – To zapewne żart, tak?

– Żart? Nie – odparł Will. – Natomiast jemu się wydaje, że to śmieszne. Więc poniekąd tak, to żart.

Saprستي uznał, że prościej będzie, jeśli wróci do kwestii omawianej przez zwiadowców chwilę wcześniej.

– W każdym razie – oświadczył – stwierdziliśmy, że wznoszący się podczas przemarszu naszych żołnierzy kurz często wystarcza, by skłonić nieprzyjaciela do ucieczki. Niewielu ma odwagę stawić czoło naszym legionom w otwartej bitwie.

– Maszerują ładnie, to muszę przyznać – rzucił niedbałym tonem Halt.

Saprستي zerknął na niego; zdawał sobie sprawę, że jak dotąd pokaz nie uczynił na siwobrodym Araleńczyku większego wrażenia. Uśmiechnął się w duchu. Nie wątpił, że za parę minut wszystko się zmieni.

– O, idzie Selethen – wtrącił Will; obaj pozostali spojrzeli w dół. Ujrzeni łatwo rozpoznawalną ze względu na wysoki wzrost postać arydzkiego wodza, który zmierzał ku trybunie, z której obserwowali plac manewrowy.

Selethen przebywał w Toskano jako przedstawiciel arydzkiego *emrikira*, by prowadzić rokowania dotyczące handlowego i wojskowego paktu zawieranego z tokańskim senatem. Toskana i Arydia wiodły ze sobą wojny od niepamiętnych czasów; ich kraje rozdzielały jedynie niezbyt rozległe wody Morza Spokojnego. Tymczasem każda z tych krain posiadała coś, czego potrzebowała druga. Pod piaskami Arydii kryły się pokłady czerwonego złota oraz żelaza, potrzebnych Toskańczykom do finansowania i wyposażenia ich licznej armii. Co również istotne, Toskanowie znajdowali wciąż większe upodobanie w *kafay*, aromatycznej odmianie kawy będącej specjalnością Arydów.

Mieszkańcy pustyni cenili zaś tokańskie tkaniny – delikatny len i bawełnę, tak przydatne w pustynnym skwarze, oraz wyśmienitą oliwę z oliwek produkowaną w Toskanie, znacznie przewyższającą jakością ich lokalne produkty. Ponadto istniała stała potrzeba

uzupełniania stad owiec oraz kóz nowymi sztukami rozplodowymi, jako że śmiertelność wśród zwierząt na pustyni była wysoka.

W przeszłości oba narody walczyły, by te dobra zdobyć. Teraz jednak po obu stronach doszli do głosu rozumniejsi przywódcy; postanowiono z wzajemną korzyścią zawrzeć sojusz dla wymiany handlowej i bezpieczeństwa. Na wodach Morza Spokojnego grasowały smukłe, zwrotne galery

piratów, które atakowały statki kupieckie i zatapiały je, rabując wprzód przewożone towary.

Niektórzy mieszkańcy obu krajów z nostalgią wspominali dawne czasy, kiedy po tutejszych wodach pływały wilcze okręty Skandian. Owszem, przybysze z dalekiej Północy łupili miejscowych bezlitośnie, lecz jednak nie na taką skalę, jak działo się to obecnie, a przy tym miejscowi rabusie znali mores dzięki skandyjskim rozbójnikom.

Jednak czasy się zmieniły. Skandianie zaczęli przestrzegać prawa. Ich oberjarl, Erak, zorientował się, że od łupieskich wypraw większe profity przynosi wynajmowanie okrętów innym krajom, pragnącym zapewnić bezpieczeństwo na swoich wodach przybrzeżnych. Doszło więc do tego, że wilcze okręty zaczęły pełnić rolę morskiej policji w wielu częściach świata. Ani Toskana, ani Arydia nie dysponowały liczącą się flotą, toteż w ramach zawartego właśnie porozumienia postanowiły zatrudnić skandyjską flotyllę, by patrolowała wody dzielące oba kraje. Z tej to właśnie przyczyny Halt oraz Will spędzili minione dziesięć dni w Toscano. Długotrwałe animozje między oboma krajami oraz towarzysząca im w nieunikniony sposób podejrzliwość co do prawdziwych intencji drugiej strony skłoniły rządy obu krajów, by zwrócić się do kraju trzeciego jako rozjemcy i arbitra, który dopomoże w zawarciu korzystnego traktatu. Zarówno Arydzi, jak Toskanowie darzyli zaufaniem Araluen. Co więcej, Aralueńczycy zadzierzgnęli więzy przyjaźni ze skandyjskim oberjarlem, toteż obie układające się strony liczyły, że ich pośrednictwo ułatwi porozumienie z dzikimi morskimi wilkami.

Naturalną koleją rzeczy Selethen zaproponował, by w skład aralueńskiej delegacji weszli Halt oraz Will. A także Horace, jednak młody rycerz nie mógł przybyć, ponieważ obowiązki zatrzymały go gdzie indziej. Sformułowania i warunki traktatu nie interesowały zwiadowców. Znaleźli się tu wyłącznie w charakterze eskorty głównej negocjatorki ze strony Aralueny, czyli Alyss Mainwaring, sympatii Willa, jego przyjaciółki jeszcze z czasów dzieciństwa i jednej z najwybitniejszych przedstawicielek młodego pokolenia aralueńskich służb dyplomatycznych.

Negocjacje trwały, odbywało się roztrząsanie detali zawieranej między Arydami i Toskanami umowy. Selethen zajął miejsce obok Willa. Trzy kompanie toskańskich legionistów, z których każda liczyła po trzydziestu trzech żołnierzy, co wraz z dowódcą składało się na tradycyjną toskańską centurię, dokonały zwrotu w prawo i przeformowały się płynnym ruchem, tak że teraz ramię w ramię zamiast trzech, stało po jedenastu zbrojnych. Pomimo szerszej formacji zachowali geometryczną perfekcję, prostą niczym ostrze miecza – pomyślał Will. Już miał wypowiedzieć tę uwagę na głos, ale powstrzymał się. Kiepskie porównanie, jeśli wziąć pod uwagę zakrzywioną klingę noszoną u boku przez Selethena.

– Jak tam rozmowy? – zagał Halt.

Selethen ściągnął usta.

– Jak zawsze, a więc powoli. Mój kanclerz domaga się zmniejszenia cła na *kafay* do trzech czwartych procenta. Wasi prawnicy – zwrócił się teraz do Sapristiego, włączając go w rozmowę – upierają się przy pięciu ósmym procenta. Nie mogłem już wytrzymać. Czasami odnoszę wrażenie, iż to wszystko wyłącznie dlatego, że lubią się spierać.

Sapristi skinął poważnie głową.

– Zawsze tak się dzieje. My, żołnierze, narażamy życie, tymczasem prawnicy wyklócają się o ułamki procentów. W dodatku uważają nas za istoty niższego rzędu.

– Jak radzi sobie Alyss? – spytał Will.

Selethen nie omieszkał wyrazić podziwu:

– Wasza lady Alyss to istna oaza spokoju pośród szalejącej burzy sporów. Przejawia doprawdy niezwykłą cierpliwość. Choć przecież trudno mi uwierzyć, by nie kusilo ją czasem, żeby trzepnąć mojego kanclerza w łeb plikiem papierzysk – spojrział w dół, gdzie trzy tokańskie kompanie uformowały teraz znowu trzy szeregi.

– *A destra! Di corsa doppia – marc'!*

Rozkaz wydał centurion zajmujący pozycję pośrodku placu manewrowego. Wszyscy żołnierze natychmiast wykonali „w prawo zwrot”, uformowali na nowo trzy szeregi, po czym ruszyli naprzód w zdwojonym tempie. Tupot ich sandałów oraz szcęk wyposażenia rozległ się donośniej, a zarazem groźniej. Wzbiła się też obfitsza chmura kurzu.

– Generale Saprissi – spytał Selethen, spoglądając na zwarty szyk legionistów – to doprawdy spektakularny popis musztry. Tylko czy płynie z niej jakakolwiek korzyść?

– Ależ zapewniam cię, wakirze, że tak. Nasze sposoby walki polegają na dyscyplinie i szyku. Ludzie w każdej centurii walczą jak jeden mąż.

– Cóż, kiedy przychodzi do bitwy, każdy z moich ludzi walczy na własny rachunek – stwierdził Selethen. W jego głosie nietrudno było dosłyszeć sceptycyzm co do wartości bojowej takich skoordynowanych, niemal mechanicznych, manewrów. – Rzecz jasna, zadanie dowódcy polega na jak

najkorzystniejszym rozmieszczeniu sił na polu bitwy. Jednak kiedy rozpocznie się już starcie, nie sposób sprawować nad nimi kontrolę. Walczą jak popadnie, byle ocalić własne głowy i unieszkodliwić jak najwięcej wrogów.

– I tutaj właśnie przydaje się musztra – odparł Saprissi. – Nasi ludzie uczą się bez namysłu odpowiadać na komendy. Dyscyplina staje się ich drugą naturą. Uczymy ograniczonej liczby podstawowych manewrów, po czym ćwiczymy je nieustannie. Aby wyszkolić doskonałego wojownika, potrzeba wielu lat. Tymczasem nieustanna musztra sprawia, że wystarczy niespełna roku, by ukształtować legion gotowy do walki.

– Lecz chyba w tak krótkim czasie nie można nauczyć się szermierki? – spytał Will. Saprissi pokręcił głową.

– Nie muszą jej opanowywać. Spoglądaj i ucz się, zwiadowco Willu.

– *Alt!* – rozległ się rozkaz; trzy kompanie znieruchomiały.

– Chmura pyłu i trzy rzędy posągów – rzekł półgłosem Will.

Po przeciwległej stronie placu manewrowego rozległ się odgłos trąbki, zza wznoszących się tam budynków wyłonili się wojownicy. Szybko sformowali linię natarcia, lecz nie w tak zwartym i doskonałym szyku, jak centuria legionistów. Ich uzbrojenie stanowiły ćwiczebne drewniane miecze o długich ostrzach oraz okrągłe tarcze. Jak zauważył Will, mniej więcej jedna czwarta oprócz mieczy posiadała też krótkie łuki.

Na rzucony rozkaz „nieprzyjaciel” ruszył do ataku. Linia napastników przybrała falisty kształt, niektórzy zmierzali bowiem wolniej, inni szybciej.

– *Tre righe!* – zawołał dowódca centurii. Halt spojrział pytająco na Saprissiego.

– Utworzyć trzy szeregi – przetłumaczył generał. – Podczas działań polowych nie używamy komend we wspólnej mowie. Po co sygnalizować wrogowi nasze zamiary?

– Rzeczywiście, po co – zgodził się Halt.

Płynnie, bez zbędnego pośpiechu trzy kompanie zajęły pozycję, tworząc prostokąt o bokach trzydziestu trzech na trzech żołnierzy. Poszczególne szeregi dzieliła odległość półtora metra.

Siły nieprzyjacielskie zatrzymały się w odległości sześćdziesięciu metrów od szyku legionistów. Żołnierze wykrzykiwali dziko i potrząsali groźnie bronią.

Na dany rozkaz łucznicy wroga wystąpili przed szereg z orężem gotowym do strzału. Obserwatorzy dosłyszeli odgłos towarzyszący napinaniu pięćdziesięciu łuków. Jednocześnie centurion wykrzyczał następny rozkaz:

– *Tartaruga! Pronto!*

Dziewięćdziesiąt dziewięć wypukłych puklerzy, tak wielkich, że mogły osłonić całą postać ludzką, przesunęło się do przodu z głośnym zgrzytem.

– *Tartaruga* znaczy żółw – wyjaśnił Saprisci. – *Pronto* znaczy gotów.

Nieprzyjacielski dowódca wydał rozkaz, strzały świsnęły beładnie w powietrzu.

Kiedy pierwsza z nich wzbijała się w górę, tokański centurion zakrzyknął:

– *Azione!*

– Wykonać – przetłumaczył Saprisci.

Żołnierze zareagowali natychmiast. Ci w pierwszym rzędzie przykucnęli, tak że schowali się za tarczami całkowicie. Rząd drugi i trzeci postąpił krok do przodu. Żołnierze w drugim szeregu unieśli tarcze nad głowy; dolne krawędzie pawęży zachodziły na tarcze legionistów z pierwszego szeregu; trzeci szereg uczynił podobnie. Cała centuria skryła się teraz za murem i dachem utworzonym z tarcz.

W następnej sekundzie chmara strzał opadła na nie z głośnym, lecz nieszkodliwym stukotem.

– Jak skorupa żółwia, rzeczywiście – Will nie mógł wyjść z podziwu. – Kim są napastnicy?

– To przybysze z krajów ościennych i prowincji, które zechciały przyłączyć się do naszego imperium – odparł gładko Saprisci.

Halt spoglądał na niego przez chwilę.

– Powiadasz, generale, że zechciały się przyłączyć? – powtórzył. – Czy też oszczędzono im trudu, podejmując tę decyzję za nie?

– Być może dopomogliśmy nieco w obraniu przez nie właściwej drogi – przyznał tokański dowódca. – Tak czy inaczej, to waleczni i doświadczeni wojownicy, wielce przydatni w rozpoznaniu i jako wojska posiłkowe. A przy okazji także sposobni do ćwiczeń i pokazów takich jak ten. Uważajcie teraz.

Nacierający żołnierze zatrzymali się w miejscu, z którego padła łucznicza salwa. Tymczasem na pole wybiegła liczna gromada pachołków, co najmniej setka; każdy dźwigał sporządzoną z cienkich desek tarczę o kształcie zbliżonym do ludzkiej sylwetki. Will przyglądał się z zaciekawieniem, jak pomocnicy ustawili je w pionowej pozycji, trzydzieści metrów od szeregu legionistów.

– Dla celów tego ćwiczenia – wyjaśnił Saprisci – przyjmujemy, że tę właśnie pozycję osiągnęły wojska nieprzyjacielskie. Podczas trwającej właśnie części pokazu nie możemy użyć prawdziwych żołnierzy. Koszt byłby zbyt wielki, a potrzebujemy naszych sojuszników.

Pachołkowie, z których niejeden spoglądał nerwowo w stronę nieruchomych rzędów centurii, opuścili biegiem pole, gdy tylko rozstawili tarcze.

Will wychylił się, żeby lepiej widzieć.

– Co teraz, generale?

Saprisci pozwolił sobie na drobny uśmiezek.

– Poczekaj, a ujrzysz – zapowiedział.

Horace, krzywiąc się z lekka, odsunął delikatnie na bok papierowy panel drewnianej ramy. Nauczył się już ostrożnie postępować z tutejszymi kruchymi konstrukcjami, ale podczas pierwszego tygodnia pobytu w Nihon-Ja kilkakrotnie zrujnował wejście do swojego pokoju. Przywykł przecież do potężnych, ciężkich wrót, które wymagały niemało siły, żeby je poruszyć. Jego nadzwyczaj uprzejmi gospodarze za każdym razem rozplýwali się w przeprosinach, zapewniając, że to z pewnością wina nieudolnego rzemieślnika. Horace wiedział jednak doskonale, że nie zawinił nikt inny, jak tylko on sam, za sprawą własnej niezręczności. Czasami w tym kraju czuł się niczym ślepy niedźwiedź w sklepie z porcelaną.

Cesarz Shigeru podniósł wzrok na wysokiego Aralueńczyka; jego uwadze nie uszła troska, z jaką cudzoziemski gość postępował wobec drzwi jego komnaty. Uśmiechnął się, szczerze rozbawiony.

– Ależ, Ors-san – rzekł – to prawdziwa wielkoduszność z twojej strony, że masz wzgląd na nasze nędzne drzwi.

Horace potrząsnął głową.

– Wielce łaskawe słowa ze strony waszej wysokości.

Skłonił się. George – dawny znajomy Horace’a jeszcze z czasów sierocińca na Zamku Redmont, a obecnie jego doradca protokolarny podczas tej wyprawy, objaśnił mu już wcześniej, że wśród Nihończyków pokłon nie oznacza poczucia niższości. Mieszkańcy tego kraju wymieniali ukłony przy każdej sposobności, okazując sobie w ten sposób wzajemny szacunek. Zazwyczaj odpowiedzią na ukłon winien być taki sam ukłon; jednak George dodał, że w kontaktach z cesarzem uprzejmość wymaga, aby kłaniać się znacznie niżej niż on. Horace’owi wcale to nie przeszkadzało. Shigeru okazał się zajmującym i łaskawym gospodarzem, ze wszech miar godnym szacunku. Pod wieloma względami przypominał Horace’owi króla Duncana, którego młody rycerz darzył szczególną estymą.

Cesarz był skromnego wzrostu, znacznie niższy od Horace’a. Niełatwo przyszłoby stwierdzić, ile może mieć lat. Wszyscy Nihończycy sprawiali wrażenie młodszych niż w rzeczywistości. Włosy Shigeru przyprószyła siwizna, toteż Horace domyślał się, że władca dobiegł już zapewne pięćdziesiątki. Jednak mimo drobnej budowy, cechowała go niezwykła sprawność i zdumiewająca siła. Przemawiał zaskakująco głębokim głosem, a kiedy był w dobrym humorze, co zdarzało się często, śmiał się głośno i serdecznie.

Shigeru skinął nieznacznie głową na znak, że młodzieniec nie musi już pozostawać w wiernopoddańczej pozycji. Horace wyprostował się, a wówczas cesarz pokłonił się jemu. Lubił muskularnego młodego rycerza i cieszył się z jego towarzystwa.

Podczas sesji ćwiczebnych, odbytych z najwybitniejszymi nihońskimi wojownikami, Shigeru zaobserwował, że Horace posiada niezwykle umiejętności, władając nader skutecznie przywiezioną ze swego kraju bronią – mieczem, dłuższym i cięższym od zakrzywionych *katana* Nihończyków oraz okrągłą tarczą. Jednak młodzieniec nie okazywał pychy, a co więcej, wychwalał umiejętności nihońskich szermierzy oraz starał się je dogłębnie poznać.

Do tego zresztą sprowadzał się cel wizyty Horace’a. Jako mistrz miecza na Zamku Araluen i zapewne przyszły mistrz sztuk walki oraz dowódca Szkoły Rycerskiej, Horace powinien zaznajomić się z jak najszerszym wachlarzem technik wojennych. Dlatego właśnie król Duncan wysłał go do tak egzotycznego, jak by się zdawało, kraju. Nie bez znaczenia pozostawał też fakt, że Horace najwyraźniej nudził się w stolicy. Król Duncan rozumiał, że mając za sobą tak burzliwe przeżycia, jak rozprawa z Odszczepieńcami u boku Halta oraz Willa, młodzieniec nie najlepiej znosił codzienną rutynę dworskiego życia na Zamku Araluen. Ku ubolewaniu córki Duncana, Cassandry, która coraz bardziej ceniła sobie towarzystwo Horace’a, uznał, że daleka wyprawa rozerwie młodzieńca, natomiast zdobyta podczas niej wiedza przyda się i jemu samemu, i całemu królestwu.

– Spójrz tutaj, Ors-san – odezwał się Shigeru i skinął na gościa.

Horace uśmiechnął się. Ani jeden z Nihończyków nie był w stanie opanować wymowy jego imienia. Przywykł już, że zamiast tego zwą go „Ors-san”. Również Shigeru po paru nieudanych próbach ograniczył się do uproszczonej wersji.

Cesarz wyciągnął w stronę Horace’a dłonie ułożone w czarę. Spoczywał w nich piękny, żółty kwiat o nieskazitelnym kształcie.

– Widzisz? – rzekł Shigeru. – Oto zbliża się już jesień. Ten kwiat powinien zwiędnąć i umrzeć całe tygodnie temu. Lecz dziś znalazłem go pośród kamieni mojego ogrodu. Przyznasz, że to fakt niezwykły i daje do myślenia?

– W rzeczy samej – odpowiedział Horace. Zdał sobie sprawę, że w tym kraju nauczył się bardzo wiele, wcale nie tylko w kwestiach dotyczących wojska i broni.

Shigeru, choć ciążyła na nim odpowiedzialność wiążąca się z rządzeniem zróżnicowaną społecznością często nader niepokornych poddanych, znajdował jednak czas, by skupić się na przejawach drobnego, codziennego piękna, które dostrzegał w naturze. Horace odnosił wrażenie, iż ta właśnie zdolność zapewniała cesarzowi wewnętrzny spokój i w niemałej mierze przyczyniała się do tego, jak zręcznie rozwiązywał piętrzące się problemy, nie poddając się emocjom.

Pokazawszy kwiat rosłemu rycerzowi, cesarz przyklęknął i umieścił go wraz z grudką ziemi na powrót między równo zagrabionymi czarnymi oraz białymi kamykami.

– Niech tu pozostanie – odezwał się. – To miejsce wyznaczył mu los.

W kamiennym ogrodzie umieszczono większe kamienie, po których cesarz i jego gość mogli przechadzać się, nie zakłócając symetrii małych kamyków. Przypominało to jakby staw, tylko że zamiast wody lśniły w nim kamyki. Horace wiedział, że każdego ranka cesarz układał je za pomocą grabek w nieco inny wzór. Ktoś inny pozostawiłby takie zadanie służbie, lecz Shigeru lubił zająć się ogrodem osobiście.

– Jeśli wszystko za mnie uczynią – wyjaśnił Horace’owi – czego ja sam zdołam się nauczyć?

Teraz cesarz wyprostował się znowu, ruchem pełnym wdzięku.

– Obawiam się, że twój pobyt wśród nas zbliża się ku końcowi.

Horace przytaknął:

– Tak, wasza wysokość. Muszę wrócić do Iwanai. Nasz statek ma tam się pojawić pod koniec tygodnia.

– Przykro nam będzie cię utracić – stwierdził Shigeru.

– Przykro mi wyjeżdżać – odpowiedział Horace.

Cesarz uśmiechnął się.

– Lecz nie sprawia ci przykrości myśl o powrocie do domu?

Horace nawet nie próbował powstrzymać uśmiechu.

– Nie. Powrót ucieszy mnie, bo wiele czasu spędziłem z dala od rodzinnego kraju.

Cesarz skinął na Horace’a, dając znak, by młody rycerz poszedł za nim. Opuścili ogród kamieni, znaleźli się w doskonale utrzymanym zagajniku. Prowadziła przezeń ścieżka, nie kamienne wyspy, szli więc obok siebie.

– Mam nadzieję, że uważasz te odwiedziny za owocne. Czy wiele się nauczyłeś, przebywając pośród nas? – spytał Shigeru.

– Bardzo wiele, wasza wysokość. Nie jestem pewien, czy tutejszy system przyjąłby się w Araluenie, jednak nie żałuję, że się z nim zapoznałem.

Wojownicy Nihon-Ja wywodzili się z wąskiej, elitarnej warstwy zwanej senshi. Przynależność do tej warstwy społecznej zyskiwało się wraz z urodzeniem, młodzi senshi od dziecięcych lat uczyli się władać mieczem, przy czym zazwyczaj zaniebawiano inne dziedziny nauki. W rezultacie z czasem senshi przekształcili się w agresywną, wojowniczą kastę, utwierdzając się w poczuciu własnej wyższości ponad innymi klasami nihońskiego społeczeństwa.

Shigeru także wywodził się z senshich, stanowił jednak chlubny wyjątek. Rzecz jasna, ćwiczył się we władaniu kataną od najmłodszych lat i choć nie zaliczał się do mistrzów, z pewnością był wytrawnym szermierzem. Uchodziło za rzecz naturalną, by cesarz, jako przywódca nie tylko całego narodu, lecz i swej klasy, posiadał takie umiejętności. Cechowały go jednak szersze zainteresowania – jak Horace mógł niejednokrotnie zaobserwować – oraz ciekawość świata i zdolność współodczuwania. Żywo przejmował go los warstw uważanych za pośrednie: rybaków, rolników i drwali, na których większość senshich spoglądała z góry.

– Wcale nie jestem pewien, czy system ten sprawdza się w naszym kraju – rzekł do Horace’a. – Ani też, czy się utrzyma i czy powinien się utrzymać.

Młody rycerz spojrzał na niego z ukosa. Wiedział, że Shigeru od dawna zmierza do poprawy doli klas zwanych niższymi, pragnie, by także ich przedstawiciele mieli swój głos w rządzeniu krajem. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że pomysły te spotykały się ze zdecydowanym oporem znacznej liczby senshich.

– Senshi nie zgodzą się na żadne zmiany – zauważył.

Cesarz westchnął.

– O, nie. Niełatwo mi przyjdzie uzyskać ich zgodę. Zazdrośnie strzegą przywilejów. Właśnie dlatego zwykłym ludziom nie wolno nosić broni, czy też uczyć się nią władać. Senshi są nieliczni, lecz nadrabiają umiejętnościami. Nie można się spodziewać, by niewyszkoleni rybacy, rolnicy, drwale stawili czoło tak niebezpiecznym przeciwnikom. Rzecz jasna, zdarzało się to w przeszłości, lecz kiedy pospólstwo podnosiło głowę, protestujących roznoszono na mieczach.

– Mogę to sobie wyobrazić – wtrącił Horace.

Shigeru wyprostował się nieco, uniósł głowę wyżej.

– Tak, lecz senshi muszą się zmienić. Muszą się dostosować. Nie wolno mi dopuścić, żeby nadal traktowali lud – mój lud – jak istoty niższego rzędu. Chłopi są tak samo potrzebni jak wojownicy. Gdyby nie ludzie trudniący się pracą własnych rąk, senshi nie mieliby co jeść, nie mieliby drewna na budowę swych domów, ani opału, by palić w nich ogień czy rozpalać piece, w których płatnerze wykuwają miecze. Muszą zrozumieć, że do wspólnego dobra przyczyniają się wszyscy, więc wszyscy zasługują, by traktować ich równo.

Horace zacisnął usta. Nie chciał odpowiadać, bowiem w jego mniemaniu Shigeru wyznaczył sobie zadanie, któremu żaden władca nie zdołałby sprostać. Jeśli nie liczyć bezpośredniego otoczenia cesarza, większość senshich stanowczo sprzeciwiała się jakimkolwiek zmianom obecnie panującego ustroju, a w szczególności dopuszczeniu do głosu klas niższych.

Shigeru wyczuł jego powątpiewanie.

– Nie zgadzasz się ze mną? – spytał łagodnie.

Horace rozłożył bezradnie ramiona.

– Ja? Ja się zgadzam – powiedział. – Tyle że moje zdanie się tu nie liczy. Pytanie brzmi, czy zgadza się pan Arisaka?

Horace poznał Arisakę podczas pierwszego tygodnia swojego pobytu w Nihon-Ja. Arisaka był przywódcą klanu Shimonseki, jednej z najliczniejszych i najbardziej wojowniczych grup senshich. Ten potężny i wpływowy wojownik nie skrywał swego przekonania, iż senshi powinni pozostać klasą dominującą w Nihon-Ja. Był także mistrzem miecza, uważanym za jednego z najgroźniejszych szermierzy kraju. Do uszu Horace’a dotarły pogłoski, że Arisaka zabił w pojedynkach ponad dwudziestu przeciwników oraz wielu więcej podczas starć, do jakich dochodziło między rywalizującymi ze sobą klanami.

Shigeru uśmiechnął się blade na wzmiankę o aroganckim wielmoży.

– Arisaka-san musi się nauczyć postępować zgodnie z życzeniami swego cesarza. Złożył wszak przysięgę na wierność.

– Zatem z pewnością jej dotrzyma – stwierdził Horace, choć żywił w tej materii poważne wątpliwości. Shigeru jak zwykle prócz słów wypowiedzianych dosłyszał także to, co się za nimi kryło; nie uszła jego uwadze troska w głosie Horace’a.

– Zapominam o moich obowiązkach gospodarza – oznajmił. – Pozostało nam mało czasu, więc powinieneś spędzić go przyjemnie, a nie kłopotać się wewnętrznymi zagadnieniami polityki Nihon-Ja. Może razem wybierzemy się w drogę do Iwanai? Ja także wkrótce będę musiał udać się w drogę powrotną do Ito.

Miniony tydzień upłynął im w beztroskiej atmosferze letniej siedziby cesarza położonej u stóp gór. Oficjalną rezydencję i siedzibę rządu stanowiła potężna, obwarowana forteca w mieście Ito, oddalonym o siedem dni drogi na południe. Mile spędzili tu czas, ale, jak zauważył wcześniej Shigeru, jesień obejmowała już panowanie nad krajem, niosąc ze sobą chłody i porywiste wichry. Letnia rezydencja nie zapewniała odpowiedniej ochrony przed dojmującym zimmem.

– Będę zachwycony. – Horace szczerze ucieszył się na myśl, że spędzi w towarzystwie Shigeru jeszcze kilka dni.

Czasem zastanawiało go, skąd brało się uwielbienie i respekt, jaki żywił wobec cesarza. Być może działa się tak dlatego, że Horace wychował się jako sierota; Shigeru ze swą nienarzucającą się siłą osobowości, spokojną mądrością i nieopuszczającym go dobrotliwym poczuciem humoru uosabiał jakby postać ojca, którego Horace nigdy nie znał. Pod niektórymi względami cesarz przypominał Horace'owi Halta, choć wyszukane maniery władcy pozostawały w jaskrawym kontraście z oschłym sposobem bycia zwiadowcy. Wskazał otaczające ich wypielęgnowane drzewa, których liście lśniły żółcią i brązem, zapowiadając jesień.

– Powiem George'owi, żeby rozpoczął przygotowania do podróży – rzekł. – Pozostawię waszą wysokość sam na sam z tymi pięknymi drzewami.

Shigeru także spoglądał na kompozycję tworzącą się z ciemnych pni i barwnych liści. Kochał spokój i samotność tego ogrodu, dającą wytchnienie od polityki oraz zgiełku stolicy.

– Ich uroda stanowić będzie nikłą pociechę wobec utraty twojego towarzystwa – odrzekł cesarz z lekkim pokłonem.

Horace skłonił się także i odparł z zakłopotanym uśmiechem:

– Wasza wysokość, braknie mi słów. Wstyd mi, że nie potrafię dobrać ich tak, żeby wyrazić, co czuję.